

Ankieta

odpowiedzi na pytania:

1.

Nie ulega wątpliwości, że polska socjologia towarzyszyła przemianom dokonującym się w ostatnich dekadach. Problem tylko w tym, czy dobrze rozpoznawała wszystkie istotne zjawiska, czy może dawała ich interpretację nie zawsze sprawiedliwą, następnie – na ile je relacjonowała, a na ile kreowała, i wreszcie – czy nadążała za rzeczywistością, czy też raczej ją wyprzedzała.

Zaczynając od ostatniej kwestii, warto przywołać obserwację prof. Marii Wieruszewskiej, znanej badaczki polskiej wsi, która w tekście poświęconym współczesnym dyskursom o wsi i rolnictwie (pomieszczonym w pracy zbiorowej „Polacy o sobie” z 2005 r.) poczyniła znamienne obserwacje: „pragnienie nadążania za ‘umykającym światem’ łatwo rozgrzesza z porzucania dawnych narzędzi i słowników... Uwiedzenie przez modne koncepcje, niejako ‘wyprzedzające’ wobec empirycznych świadectw chwili obecnej, wywołuje niedosyt. Pozostają niezagospodarowane pola zainteresowań niegdysiejszych”. Owe „modne koncepcje” (wolny rynek, demokracja liberalna, społeczeństwo obywatelskie) wraz z przypisanymi im pojęciami (przedsiębiorczość, nowoczesna mentalność czy kapitał społeczny) zdominowały myślenie badaczy i sprawiły, że – aby posłużyć się słowami Norwida – faktycznie znajdowali oni to, „z czym” szukali („Promethidion”).

I tak oto polskie społeczeństwo zaczęło jawić się jako budujące gospodarkę kapitalistyczną, dorastające do nowego ustroju i zasypujące „próżnię społeczną” po minionym ustroju, choć – rzekomo skażone dziedzictwem *homo sovieticus* – nie czyniło tego w sposób dostatecznie szybki ani identyczny z przedstawianymi w zachodnich opracowaniach wzorami europejskimi. Stąd wzięły początek diagnozy mówiące o zapóźnieniu, czynnikach spowalniających postęp, wreszcie krytyka tych wszystkich, którzy nie nadążali za przemianami, a więc stanowili ewidentny „balast” spowalniający tak pożądaną modernizację. Trudno tu nie zauważyć, iż podobnego języka używano jakieś sto lat wcześniej w Niemczech, które również planowały gruntowną modernizację, a wszystkich nie rokujących, iż staną się zdyscyplinowanymi i wydajnymi członkami nowego społeczeństwa, wskazywano jako zbędnych. Jak przekonują autorzy, których teksty pomieszczono w pracy pod red. H. Orłowskiego („Nazizm, III Rzesza a procesy modernizacji” 2000) także wówczas kierowano

się kryteriami produktywności, racjonalizacji i ekonomizacji, a krytyka wskazywanej w różnych grupach społecznych i narodowych „nieprzydatnej nadwyżki ludnościowej” (*ballastexistenzen*) znajdowała naukowe uzasadnienie w pracach wybitnych autorytetów tego okresu – specjalistów w zakresie ekonomii, planowania przestrzennego, prawa i medycyny. Wzgląd na takie przykłady zaangażowania nauki powinien być przestrogą przed używaniem skompromitowanego języka i formułowaniem określonych postulatów, których jednak w pracach okresu transformacji nie brakowało – o czym poniżej. W tym miejscu warto jedynie dodać, że poniekąd także socjologowie stali się ofiarą wybranych przez siebie punktów widzenia, uznawanych wartości i koncentracji na założonych modelach o charakterze typów idealnych. Można nawet powiedzieć, że sami postawili się w sytuacji opisywanych przez Tocqueville’a ideologów rewolucji francuskiej, którzy przeczytawszy wiele książek i przejęci abstrakcyjnymi ideami „ponad społeczeństwem rzeczywistym” stworzyli „społeczeństwo fikcyjne” i zaczęli (często bardzo radykalnie) oceniać to pierwsze według kryteriów tego drugiego.

Czy w prowadzonych tym trybem rozważaniach więcej było opisu realiów czy też kreacji świata wyobrażonego? Przeważały tu diagnozy, a może myślenie życzeniowe i frustracja wynikłe z obserwowanej niezgodności obu tych poziomów refleksji? Czy wreszcie trzymano się faktów, czy też raczej budowano uogólnienia teoretyczne? Trudno w tym miejscu rozsądzić wszystkie wymienione kwestie. Aby skoncentrować się tylko na jednej z nich, tej ostatniej, należałoby wyrazić przesyt mnogością opisów i równocześnie niedosyt spowodowany brakiem samodzielnie formułowanych teorii. Przed laty prof. Zdzisław Grzelak tak postrzegał intensywną krzątanie socjologów wsi podejmujących wiele bardzo rozmaitych tematów: „oto oglądamy wyrysowane dokładnie kontury socjalne i geograficzne Kawęczyna i Wielączy na wschodnich rubieżach kraju. Z kolei przerzucamy nasze ‘miejsca widokowe’ do zagród stu hodowców trzody chlewnej w dziewięciu województwach Polski północnej. Laika intrygują nadzwyczaj pozytywne wyniki z matematyki uczniów szkoły gminnej w Rumowie w woj. Bydgoskim. Niektórych ucieszą wyższe wskaźniki moralności seksualnej mieszkańców wsi. Martwią z pewnością sygnały o spadku zainteresowania hodowlą krów w początku lat dziewięćdziesiątych...” (w tomie „Stare i nowe struktury społeczne w Polsce” t. II, 1995).

Także obecnie niewyczerpalność rzeczywistości społecznej wydaje się imponująca, ale powinnością socjologii jest przecież nie tylko dostarczać *case studies*, kolejnych obrazków i scen rodzajowych (bo mamy wtedy do czynienia zaledwie z socjologią

turystyczno-krajoznawczą), lecz również, a może nawet przede wszystkim, dążyć do budowania teorii. Tymczasem dzieje się inaczej: „socjologia polska poprzestaje na odtwarzaniu rzeczywistości, zamiast próbować ją wyjaśniać” – pisze prof. Henryk Domański (w: „Polskie nauki humanistyczne i społeczne w nowym stuleciu i nowej Europie” 2006), a prof. Kaja Kaźmierska dodaje: współczesna socjologia „nie analizuje krytycznie rzeczywistości, lecz ją obsługuje” (w: „Metoda biograficzna w socjologii” 2012).

W podobnej kondycji znajdują się zresztą inne nauki społeczne i humanistyczne. Jest to konsekwencją peryferyjnego usytuowania polskiego pola akademickiego względem środowisk z krajów Centrum i przybiera postać specyficznego „podziału pracy”: w Centrum tworzy się teorie, a na Peryferiach się je stosuje (jak tłumaczy prof. Tomasz Zarycki). Nie przypadkiem Krzysztof Abriszewski apeluje więc o „patriotyzm epistemologiczny”, a Ewa Domańska piętnuje „impotencję polskich badaczy do tworzenia własnych ujęć teoretycznych” wskazując, że grozi to „autokolonizacją” i utratą „intelektualnej suwerenności”. To samo miał na myśli Jan Stanisław Bystron, kiedy w 1917 r. konstatował, iż polska socjologia „nie ma rozwoju historycznego, lecz wyłącznie logiczny: autorzy polscy znajdują się zawsze w żywym kontakcie z teoriami obcymi, nie znając przeważnie poprzednich prac polskich” oraz Franciszek Bujak, który w 1920 r. w tekście „Nauka a społeczeństwo” przestrzegał, że czerpanie wyłącznie z cudzych inspiracji skazuje społeczeństwo na to, iż będzie „patrzeć na świat i na siebie samo obcymi oczami”. Wreszcie nie o czym innym pisze dziś badaczka australijska, Raewyn Connell, domagając się rozwijania „tubylczych socjologii”, nawet jeśli miałyby one być „teoriami brudnymi”, bo uwikłanymi w konkretne sytuacje, lokalne konteksty i peryferyjne realia. Na tym zresztą polegałaby ich siła. W przeciwnym razie, na co zwraca uwagę filozof i metodolog nauki Imre Lakatos, każdej dyscyplinie grozi uprawianie „zdegradowanych programów badawczych”, a więc rozwój co najwyżej ekstensywny (przez wchłanianie coraz to nowych faktów), lecz nie intensywny (tworzenie nowych koncepcji). Czy mimo tych wszystkich słabości socjologia polska wniosła jakiś wkład w socjologię światową? Odpowiedź na to pytanie wymaga chyba dłuższej perspektywy niż lata, a nawet dziesięciolecia.

2.

Promujące szeroko rozumiane przemiany, sprawczość i podmiotowość, środowisko socjologiczne samo okazało się jednak bezbronne i bezradne wobec zmian zachodzących w jego najbliższym otoczeniu instytucjonalnym. Nie potrafiło sformułować i skutecznie promować własnego programu ani przynajmniej opierać się wprowadzanym reformom, nawet

w tych przypadkach, kiedy dotyczyły one integralności i tożsamości dyscypliny, poważnie nadwątlonej np. przez zasady systemu bolońskiego. Rezygnacja z jednolitych studiów magisterskich (przed czym potrafiła się obronić np. psychologia) spowodowała duże szkody w edukacji studentów i oznaczała akceptację nadawania tytułu zawodowego magistra socjologii osobom mającym poważne luki w wiedzy profesjonalnej i umiejętnościach badawczych.

Środowisko nie potrafiło też dostatecznie mocno zaprotestować przeciw narzucanym przez resort zasadom parametryzacji oraz innym decyzjom wypaczającym sens pracy naukowej i po prostu sprzecznych z ethosem nauki. Najbardziej wyraziste opinie na ten temat wygłaszali natomiast przedstawiciele innych dyscyplin: Michał Głowiński upominał się o docenianie roli języka polskiego w publikacjach z zakresu humanistyki („Gazeta Wyborcza” 11.XII.2008), Andrzej K. Wróblewski ubolewał nad „marnością parametryzacji” („Forum Akademickie” styczeń 2014), Andrzej Walicki wskazywał, iż centralizm i odgórny tryb narzucanych reform zagrażają autonomii pola akademickiego i są formą biurokratyczno-etatystycznego totalitaryzmu („Gazeta Wyborcza” 1-2.VI.2013), Jacek Jadacki pisał o groźbie „wasalizacji” rodzimych środowisk naukowych względem zachodnich ośrodków („Rzeczpospolita” 27-28.VIII.2011), zaś Karol Modzelewski dowodził, że wprowadzane reformy wskazują na zauroczenie „kultem rynku” i zdradzają „mentalność postkolonialną” („Gazeta Wyborcza” 15-16.I.2011). Ze strony socjologów niejednokrotnie i bardzo stanowczo zabierała głos Izabela Wagner-Saffray, doskonale obeznana nie tylko z polskimi, lecz i ze światowymi realiami życia naukowego, ale właśnie za te swoje wypowiedzi była nierzadko strofowana przez kolegów z najbliższego otoczenia.

Dlatego trudno się dziwić, iż młode pokolenie socjologów stara się obecnie dostosować do istniejących realiów i niewątpliwie są osoby, które mają pod tym względem spore sukcesy: publikują w wysoko punktowanych czasopismach zagranicznych, wydają książki w renomowanych wydawnictwach zachodnich, podejmują pracę w znaczących ośrodkach naukowych poza granicami Polski. Problem tylko w tym, czy jest to równoznaczne z rozwojem polskiej socjologii albo z jej wkładem w socjologię europejską lub światową? Przecież bardzo często ich dorobek nie trafia do obiegu krajowego (choćby z racji niedostępności wielu tytułów - zbyt drogie, by mogły być systematycznie prenumerowane przez polskie instytucje naukowe) bądź też, w najlepszym razie, pozostaje znany wąskiemu gronu specjalistów. Poza tym warto również wziąć pod uwagę, na ile w swoich tekstach uwzględniają oni polskich autorów, udostępniając ich przemyślenia zagranicznym

środowiskom i pokazując ich nierzadko prekursorski charakter, a na ile analizują teorie powstałe w zachodniej socjologii. Inną kwestią pozostaje pytanie, czy piszą oni o polskim społeczeństwie i czy wyniki ich badań w jakiś sposób służą polskiemu społeczeństwu, budując jego samowiedzę, czy też koncentrują się na zagadnieniach bardziej ogólnych, nie mających związku z polskimi realiami. Gdyby choć część z wymienionych tu obaw miała się potwierdzić, świadczyłoby to o godnym podziwu, ale wyłącznie „molekularnym rozwoju” polskich socjologów, nie zaś o rozwoju i oddziaływaniu polskiej socjologii.

W związku z tą ostatnią kwestią: wydaje się, że zasadniczym hamulcem przyszłego rozwoju socjologii polskiej (a więc nie tylko tworzonej przez polskich badaczy, ale też nawiązującej do tradycji polskiej socjologii i adresowanej do polskiego społeczeństwa) będzie brak powszechnej edukacji właśnie w zakresie rodzimego dorobku tej dyscypliny. Tylko w niewielu ośrodkach akademickich systematycznie realizowane są obowiązkowe zajęcia poświęcone polskim autorom, ich osiągnięciom teoretycznym, propozycjom w zakresie metodologii i wynikom badań empirycznych. Nie rokuje to dobrze ciągłości tej lokalnej, ale chyba nie najgorszej, wersji socjologii i w oczywisty sposób zmniejsza szanse jej zaistnienia w obiegu światowym. Nie mówiąc już o wypełnianiu tak ważnej misji, jaką jest komunikowanie się z własnym społeczeństwem; misji wyjątkowo ważnej w przypadku polskiego społeczeństwa, o którym Adam Podgórecki pisał, iż jego szczególną cechą jest „niezdolność do postrzegania rzeczywistości społecznej taką, jaka ona jest”, a więc „Polacy nie są w stanie rozpoznać natury procesów społecznych i oczekują, że ktoś wskaże im sens tego, z czym się bezpośrednio zetknęli” („Społeczeństwo polskie”). W takim razie tym kimś powinni być polscy socjologowie dobrze obeznani z dorobkiem swoich poprzedników, a więc zdolni do diagnozowania polskiego społeczeństwa w szerszej perspektywie niż tylko ich własne badania.

3.

Funkcja społeczna socjologii to jednak nie tylko udział w „rozpoznawaniu się w jestestwie swoim” przez społeczeństwo, ale też odpowiedzialne formułowanie twierdzeń ze świadomością, że – tak jak to pokazywał Stanisław Ossowski – mają one wpływ na rzeczywistość społeczną i samych badanych. Dlatego ocena działań socjologów czasu transformacji powinna uwzględnić również ich rolę w pewnym bardzo ważnym, ale zazwyczaj pomijanym w autorefleksji przedstawicieli tej dyscypliny zjawisku, które prof. Michał Bilewicz określił jako „generowanie pogardy wobec zwykłych ludzi”. Wygłaszane w okresie transformacji opinie bywały bardzo krytyczne i zdecydowanie wartościujące; co

więcej, krytyka ta przybierała nierzadko formę „orientalizowania” pewnych grup społecznych (co odwołując się do licznych przykładów opisał prof. Michał Buchowski), a nawet (zdaniem prof. Moniki Bobako) odwoływała się do argumentów „neoliberalnego dyskursu rasistowskiego” operującego językiem pogardy, stygmatyzacji i wykluczania. Zamiast umacniać poczucie wartości Polaków (bo, jak pisał J.S. Bystron w „Megalomanii narodowej”: wiara we własne siły jest koniecznym warunkiem powodzenia zarówno dla jednostek, jak i dla całych grup społecznych; podtrzymywanie tej wiary wśród społeczeństwa musi być zawsze troską jego kierowników”) i podkreślać przydatność tradycji kulturowych, które mogłyby być wykorzystane w procesie przemian, koncentrowano się na wykazywaniu rozlicznych „barier mentalnych” i szkodliwego wpływu przeszłości (badania prof. Bogdana Macha nad autorytaryzmem są tu pozytywnym wyjątkiem). Jednocześnie ubolewano nad niskim poziomem kapitału społecznego, a zwłaszcza zaufania - tych kluczowych czynników przemian, najwyraźniej zapominając, że ich stan F. Fukuyama uzależniał właśnie od kondycji religii, tradycyjnych obyczajów, norm moralnych oraz innych „irracjonalnych” zjawisk, które są niezbędnym warunkiem właściwego funkcjonowania współczesnych instytucji gospodarczych i politycznych („Zaufanie”). Obrany w Polsce „imitacyjny” model transformacji opierał się jednak na logice „zrywania” i „zastępowania”, a to powodowało, iż także socjologia nie widziała innej drogi rozwoju niż tylko eliminację tego, co było i wprowadzenie na ich miejsce elementów czerpanych z Zachodu. Pisano więc o konieczności „całkowitej wymiany aparatury mentalnej” i potrzebie „radikalnej modyfikacji historycznie ukształtowanej tożsamości”.

Tak więc bynajmniej nie myślenie właściwe kulturze zachodnioeuropejskiej: takie, które operuje logiką „ternarną” i dopuszcza kompromisy oraz stopniowe dokonywanie zmian, ale myślenie właściwe kulturze rosyjskiej i teoretykom marksizmu: posługujące się binarnymi opozycjami i zasadą całkowitego przekreślenia przeszłości (jak to tłumaczył J. Łotman w książce „Kultura i eksplozja” 1999) zdominowało socjologię głównego nurtu – paradoksalnie tej właśnie, która najusilniej przekonywała o zasadności odrzucenia „Wschodu, który jest w nas”, „dogonienia dojrzałych demokracji Zachodu” i „powrotu do Europy”. Konsekwencją obrania takiej perspektywy było m.in. potępienie wszystkich „przegranych transformacji” i obarczanie ich winą za doznane niepowodzenia, choć badania prof. K.M. Słomczyńskiego i prof. K. Janickiej nad „efektem św. Mateusza” wykazywały istnienie przyczyn strukturalnych, a nie indywidualnych, a więc kwestionowały przekonanie o powszechności obowiązywania zasad merytokratycznych w społeczeństwie uformowanym przez „wielką

zmianę”. Tekst obojga autorów prezentowany na Zjeździe w Zielonej Górze zamykał się „Przesłaniem końcowym”, gdzie autorzy wzywali do porzucenia retoryki produktywności, dzielącej ludzi na przydatnych i zbędnych.

Niewiele jednak świadczy o tym, by ich apel spotkał się z powszechnym zrozumieniem. Wciąż bowiem pojawiają się opinie badaczy i ekspertów, którzy te lub inne grupy społeczne przedstawiają jako czynnik spowalniający przemiany modernizacyjne, jako „balast, którego trzeba pozbyć się jak najszybciej”. Takim rezerwuarem ocenianego najbardziej krytycznie „kapitału ludzkiego” ma być zwłaszcza wieś, gdzie żyje ok. 2,5-3 mln ludzi zaliczanych do *underclass* – drobnych chłopów i byłych pracowników pgr-ów. Socjologowie wsi piszą więc o „dorzynaniu chłopów”, bo jest ich tylu, iż „dosłownie zdeptują ziemię, po której chodzą” („Polityka” 38/2008), a demografowie postulują „trwały odpływ trudnej do zagospodarowania nadwyżki demograficznej, tj. ludzi, których systemy wartości i nawyki są niewspółmierne do potrzeb i oznaczają ponoszenie nadmiernych kosztów” (w pracy „Emigracja ostatnia?” 2008).

Wszystko więc wskazuje na to, iż słowa prof. Słomczyńskiego i prof. Janickiej: „Przeciwstawmy się temu!” nic nie straciły ze swojej aktualności, a to oznacza, iż w polskiej socjologii wciąż obecne są wątki przynależne mało chlubnej tradycji dyscypliny, zwanej czasami *a cow sociology*. Daniel Bell tak właśnie określał dorobek socjologów pogardliwie odnoszących się do badanych grup i traktujących je jak żywy inwentarz oceniany według kryterium wydajności (w: „Commentary” 3/1947). A skoro tak, to właściwie rozumiana społeczna funkcja polskiej socjologii – jej rola „służebna”, a nie usługowa wobec doraźnych zapotrzebowań, usłużna względem środowisk opiniotwórczych czy służalcza w relacjach z władzą – nadal czeka na właściwe wypełnienie.